

Śnienie - Retroperspektywy 2025

Za to wydarzenie podczas XIV festiwalu Retroperspektywy odpowiedzialny był Teatr O-Team z Niemiec; reżyserowali Nina Malotta i Samuel Hof. Jakkolwiek widzowie festiwalu przywykli do stawania na progu i przenoszenia się w niezbadane przestrzenie, tym razem udało się ich zaskoczyć, wprowadzić w niepokój, konsternację, zachwyt i całą gamę ambiwalentnych odczuć i emocji.

Wyruszając w teatralną podróż pod osłoną nocy trzeba uważnie się przyglądać, dokąd i w jaki sposób jest się zabieranym. Gdzie nas zabrał Teatr O-Team? Jeśli przy wejściu trzeba odłożyć plecak do wspólnego kontenera i wyłączyć telefon, zapalają się pierwsze czerwone światełka – czy to przemoc symboliczna w stylu Bordieu, czy niezbędne wymogi organizacyjne, by akcja teatralna przebiegała bez zakłóceń? A może dyskretne przeplatanie jednego i drugiego w taki sposób, by trudno było je oddzielić? Okraszone słodyczą uśmiechów i gestami czulego zaopiekowania. Dostajemy jeszcze ubranka – koszulę nocną z mięciutkiego jasnego materiału i szlafmycę niczym u Żwirka i Muchomorka. Koszula przypomina fasonem stroje dla osób w kiepskiej kondycji psychicznej, na szczęście bez sławetnego wiązania rękawów z tyłu. Tak przemienieni ruszamy dalej, w poszukiwaniu swojego łóżeczka. Odruchowo szukamy znajomych twarzy. Zawsze rażniej położyć się w pobliżu kogoś, z kim już się wcześniej rozmawiało, nawet jeśli są to znajomości tylko zawodowe. Łóżka ustawiono w dwóch rzędach, ze sporym odstępem między nimi, tworząc w ten sposób przestrzeń gry, jak się później okaże. Miejsca do spania precyzyjnie wpisano w przestrzenie, pofabryczne wnętrza Fabryki Sztuki – prostokątny hall pomalowany na biało, z kolumnami i piękną drewnianą podłogą. Ale z zasłoniętym materiałem wejściem i bez światła słonecznego dostającego się przez okna. W takim otoczeniu oczekiwaliśmy na dalszą transformację.

Najpierw podano każdej osobie do wypicia magiczny eliksir, czyli kakao (a przynajmniej na to wskazywał jego smak), następnie miskę do obmycia nóg (rytualnego?). Obie te czynności aktorzy wykonywali z hipnotyzującą starannością i powolnością, zatrzymując się przy każdym z łóżek. Operowali magiczną machiną z wodą, zakończoną nastrojowo podświetlaną rurką – kranikiem. Ich czarne kostiumy z jasnymi mazańcami przypominającymi kości i podobne w kolorze nakrycia głowy, w których można znaleźć zarówno wariację na temat czepka siostry Ratched z „Lotu nad kukułczym gniazdem”, jak i czapek muezinów czy derwiszy. Bo też znaleźliśmy się nie tylko w przestrzeni głęboko symbolicznej, ale i w piorunującym miksie kulturowym, po którym nie sposób chadzać utartymi szlakami. Bo ich zwyczajnie nie ma. Z jednej strony czujemy się niczym w duńskiej krainie hygge – zrelaksowani i zaopiekowani, z drugiej nie wiemy, co za chwilę z nami zrobią. W multimedialnych obrazach widzimy plenery, można się poczuć trochę jak na kempingu, na obozie młodzieżowym, z jego wspólnotowością, wyjściem z oficjalnych powinności i ról, pożyczaniem pasty do zębów w łazience. Spać czy nie spać? Każdy sam podejmuje decyzję. Niektórzy po „kakałku” padają jak kawki, inni walczą z opadającymi powiekami. Bo jest czego słuchać i na co patrzeć, chłonąć wszelkimi zmysłami.

Nieustająca feeria dźwięków. Szumy, odgłosy przyrody, brzmienia elektroniczne, ucukrowane, aksamitne, ale też częściowo tworzona na żywo muzyka, przywodząca na myśl rytualne śpiewy muezinów i innych grup religijnych. Postaci w wielkich, egzotycznych maskach, wyłaniające się zza łóżek, przechadzające się w płynnym rytmie między rzędami niczym po wybiegu. Maski azjatyckie? Afrykańskie? Nie pamiętam, śniłam. Ale też maski kojarzące się z faunami, chochlikami. I ciemnymi mocami przeprowadzającymi swoje rytuały podczas gdy my, nieświadomi, śnimy. Wreszcie obrazy malowane na żywo na wielkich płachtach papieru, kolorowe, niepokojące – niczym fantazja na temat zwierzęcej czaszki albo kobiecych narządów rodnych. Dziko-zwierzęce stylizacje czapek obłożonych futrem, gdy nagle się budzisz. Jest ślicznie i magicznie, można nawet iść do osobnego pokoju z

książkami typu „Wild nights”, „Sleep in arts” i skosztować bezpestkowych daktyli. Ale budzisz się i nie wiesz, czy to już poranek czy jeszcze noc. Brak dziennego światła, telefon wyłączony. Nad tobą krążą mroczne postaci, które nigdy nie śpią, wciąż słyszysz niemal tę samą melodię, punktowe światełka niby dyskretne, ale całą noc włączone, piasek pod powiekami, ktoś stuka ci nad głową jakimś drewnianym instrumentem. Znów się budzisz. I tak wielokrotnie w ciągu nocy – jeśli to nie przypomina praktyk rodem z tajnych baz wojskowych, to co w takim razie?

Niewątpliwie „Night Piece N°7” to wyjątkowy eksperyment na naszych układach nerwowych. W lustrzany sposób odbijał to, co wnoszą ze sobą widzowie, przełamani rolami uczestników i aktorów, których się obserwuje, którzy na własne życzenie stali się obiektami obserwacji, wchodząc w nieznaną przestrzeń. Dla jednych okazywała się ona miejscem relaksu i sanatorium, ucieczki od codzienności, nawiązywania relacji na podprogowym poziomie, dla innych przestrzenią snienia i duchowego poszukiwania, eksperymentem, żartem, dla kolejnych granicą sennego koszmaru czy nawet przestrzenią daleko poza nią. Na pewno warto było w tym uczestniczyć, poczuć, jak daleko można przesuwąć granice teatru czy raczej jak próbować zawracać do jego korzeni i zobaczyć, co na tej drodze może się wydarzyć. Obserwować, na ile zgodzą się widzowie, sanepid, miasto i czuwająca, nad nami, jak sądzę, Matka Boska. „Night Piece N°7” to też opowieść o tym, jak łatwo nas uspić i zwieść, by zrobić z nami cokolwiek się zechce, bez naszej wiedzy czy z cichym przyzwoleniem. To opowieść o tak głębokim śnieniu, zanurzeniu w podświadomości zbiorowej, że tylko wrzucenie w kolejne śnienie może nas obudzić.

Paulina Ilska

XIV Międzynarodowy Festiwal Teatralny Retroperspektywy 2025, Fabryka Sztuki w Łodzi.